POLSKA–CHINY

Konstanty Symonolewicz¹

MAŁA POLSKA NA CHIŃSKIEJ ZIEMI²

O jednym z takich spokojnych kanałów sztucznych, wzburzonym przez powódź rosyjską, o kolonii polskiej w Mandżurji, opowiem w rozdziale niniejszym, jako świadek naoczny przeżytych przez nią burz i jej powrotu do stanu normalnego, w którym jest obecnie.

Wspominałem już w jednym z rozdziałów poprzednich, że wśród personelu kolejowego oraz w wojskach ochronnych³ było stale wielu Polaków. Zajmowali oni stanowiska wyższe i niższe, zaczynając od naczelników wydziałów i oficerów, a kończąc na zwrotniczych i żołnierzach, w mniejszym lub większym stopniu zachowali język polski i świadomość narodową, ale w jednolitą masę łączyła ich przede wszystkim religja katolicka. Tylko w kościele bowiem mogły się wówczas spotykać na równej stopie osoby stojące na różnych stopniach hierarchii urzędowej i społecznej, tylko w kościele większość z nich mogła swoją polskość bezkarnie ujawnić.

Miała więc ówczesna kolonia polska [w Harbinie] od roku 1909 swój kościół, zbudowany na ziemi bezpłatnie przez zarząd kolei udzielonej, za pieniądze uzyskane drogą składek i ofiar, i pod egidą tego kościoła zaczęła się rozwijać jedna część jej działalności kulturalno-oświatowej, mającej w przyszłości doprowadzić do wyników o tyle pomyślnych, że prawie nadspodziewanych.

Równocześnie jednak rozwijała się i druga część tej działalności, kierowana przez sfery świeckie. Działalność ta napotykała większe przeszkody i trudności

¹ Konstanty Symonolewicz (1884–1952), orientalista, konsul RP w Harbinie, nauczyciel w tamtejszym Polskim Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza. W cytowanym tekście zachowano oryginalną pisownię.

² Konstanty Symonolewicz, *Miraże mandżurskie*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1932, ss. 250–274.

³ Mowa o Kolei Wschodniocchińskiej, której ośrodek administracyjny znajdował się w Harbinie.

ze strony władz rosyjskich, aniżeli akcja kościelna, gdyż życie polskie ówczesne mogło się rozwijać tylko w dwóch kierunkach: religijnym i towarzyskim. Ludzie więc, którzy kochali swój kraj i język, byli zmuszeni do obcowania ze sobą i do szerzenia propagandy polskości pod płaszczem zabaw i rozrywek.

Ponieważ jednak w składzie wyższej administracji kolejowej było wielu Polaków, a nadto polityka naczelnika kolei, generała Chorwata, była w znacznym stopniu pozbawiona cech szowinizmu i nietolerancji, które tak charakteryzowały administrację rosyjską wogóle, ludzie więc dobrej woli zdołali jeszcze w roku 1907 uzyskać formalne zatwierdzenie statutu stowarzyszenia „Gospoda Polska”, a w rok później otworzyć pierwszą początkową szkołkę polską oraz kursy języka polskiego dla dorosłych.

Obydwa te kierunki, duchowny i świecki, w ciągu lat kilku zgodnie dążyły do wspólnego celu – szerzenia słowa polskiego i świadomości narodowej wśród młodszej braci, wystawionej na działanie potężnych wpływów rusyfikacyjnych. Przy kościele odrazu po jego wybudowaniu powstało towarzystwo dobroczynne im. Św. Wincentego à Paulo, które w roku 1912 założyło drugą szkołę początkową, a na plebanji znalazła na jakiś czas schronienie stawiająca pierwsze kroki Gospoda Polska. Stawało się jednak rzeczą coraz bardziej widoczną, że kolonia jest zbyt liczną i bogatą, aby zadowolić się skromną egzystencją pod skrzydłem kościoła, i oto powstaje plan budowy własnego domu.

Pieniądzy dostarczyła emisja udziałów, rozkupionych przez kolonję, i rok 1912 staje się datą, od której rozpoczyna się działalność Gospody Polskiej jako właścicielki piętrowego domu przy ulicy Głuchej, w którym do dziś dnia mieści się bezpłatna szkołka początkowa, biblioteka i czytelnia. W roku następnym dobudowano wielką salę teatralną i propaganda polskości wzbogaca się o jeden jeszcze stały i potężny czynnik – teatr polski.

Rozwija się w dalszym ciągu i działalność kościoła, a w roku 1916 dwa wyższe oddziały szkoły im. Św. Wincentego à Paulo, liczącej wówczas już pięć oddziałów, zostały przekształcone w niższe klasy gimnazjum im. H. Sienkiewicza. Mieściło się to wszystko na plebanji, zajmując salon i jadalnię proboszcza, niektóre klasy miały lekcje nawet na schodach, dawał się odczuwać brak książek, podręczników i programu; ale pomimo to praca posuwała się naprzód i dzieci wciąż przybywało. Jednocześnie na ziemi kościelnej, również ze składek i ofiar kolonji polskiej, budowano pod egidą Towarzystwa Św. Wincentego à Paulo gmach piętrowy, przeznaczony na lokal gimnazjum i szkoły. Ukończono go w roku 1917 i przeniesione do niego uczelnie znajdując się w nim dotychczas.

W takim stanie zastała kolonję polską burza dziejowa, która w postaci wojny, a następnie rewolucji rosyjskiej, wstrząsnęła podstawami świata. Obraz ten byłby jednak niezupełnym, gdybyśmy w kilku słowach nie wspomnieli o ludziach, któ-

rzy ten stan wytworzyli. Pracowali oni nie dla nagród i zaszczytów, gdyż nie było wówczas instancji, któraby ich udzielać mogła, dlatego też imiona ich powinny zostać w pamięci przynajmniej tych Polaków, którzy, mieszkając w Charbinie, mają obecnie możność korzystania z plonów ich owocnej i bezinteresownej pracy.

Z liczby osób, które pracowały na terenie i pod egidą kościoła, na szczególnie wyróżnienie zasługują: ksiądz proboszcz W. Ostrowski, którego energii zawdzięczają swoje powstanie szkoła i gimnazjum, gmach, gdzie się mieszczą te uczelnie, i ochronka dla sierot i biednych dzieci; ksiądz wikary A. Eysymontt, który w ciągu lat prowadził uporczywą walkę z rusyfikacją i wynarodowieniem młodego pokolenia na terenie tutejszym, i któremu kilkadziesiąt dzieci zawdzięcza swój powrót do wiary i kultury przodków; oraz p. J. Brudzewska, niezmordowana współpracowniczka księży w dziedzinie oświatowej i ratowniczej i pionierka szkolnictwa polskiego w Mandżurji.

Znacznie więcej godnych wspomnienia imion grupuje się dookoła Gospody Polskiej, która, jako instytucja społeczna, wciągała w orbitę swojej pracy szersze sfery inteligentnych Polaków, jako zaś ich własność wyłączna, skupiała w sobie cały ich wygnańczy sentyment. Ponieważ jednak na wyliczenie tych imion nie pozwalają te karty, zmuszony jestem ograniczyć się tylko do kilku najwięcej zasłużonych. Byli to czterej prezesi stowarzyszenia: pp. W. Roman, K. Weber, dr. W. Łazowski i E. Doberski. Pierwsi dwaj, wyżsi urzędnicy kolejowi, potrafili dzięki swoim wpływom usunąć wiele trudności i przeszkód ze strony administracji rosyjskiej, tak że pod ich opieką młode stowarzyszenie stawiało pierwsze swoje kroki; trzeci szczególną opieką otaczał szkołę, obecnie jego imię noszącą; a czwarty, pomimo słabego zdrowia, z energią i poświęceniem prowadził sprawę budowy gmachu Gospody oraz jej skomplikowane wówczas rachunki i na posterunku tym wytrwał do śmierci.

Spokojna ta i planowa praca kolonji polskiej zaczyna w czasie wojny światowej nabierać coraz to większego rozmachu i tempo jej działalności staje się coraz bardziej gorączkowem. Od roku 1915, kiedy wojska niemieckie zajęły teren b. Królestwa Kongresowego, zaczynają przybywać do Charbina partje wygnańców, zmuszonych do opuszczenia ziemi ojczystej. Ruch ten uchodźczy wzmagają się z każdym rokiem, podwaja i potraja go rewolucja, kulminacyjnego zaś punktu dosięga on po zniesieniu na Syberji rządu Kołczaka. W tym samym stosunku rośnie i komplikuje się działalność kolonji charbińskiej.

Zaczęło się od ratownictwa. Wśród przybywających uchodźców wielu potrzebowało pomocy, zawiązuje się więc przy Gospodzie Oddział Towarzystwa Pomocy Ofiarom Wojny, który zbiera fundusze na miejscu i wchodzi w stosunki z centralą w Moskwie i w Petersburgu, otrzymując pomoc i stamtąd. Gospoda szeroko otwiera podwoje dla uchodźców i organizacyj z ich powodu powstałych, a szkoły

polskie garną do siebie ich dzieci. Wśród przybyłych uchodźców znajduje się wielu wybitnych działaczy w dziedzinie społecznej i kulturalno-oświatowej, i ludzie ci, biorąc udział w życiu kolonii, nadają mu więcej rozmachu i treści.

Im więcej wzbierają wody rzeczki – terenu kolejowego, tem więcej jej przybiera i w spokojnym kanale – w kolonii polskiej.

Wybuch rewolucja rosyjska, rozlegają się wielkie frazesy o braterstwie narodów, o pokoju „bez aneksyj i kontrybucyj”, na terenie szaleje rozpasana banda zdemoralizowanego żołdactwa, a z głębi kraju lekkim wilczym krokiem posuwają się ku koncesji rosyjskiej napół przestraszone jeszcze, napół olśnione nowymi perspektywami, oddziały chińskie.

Przed kolonią stają nowe zadania, narówni z pracą ratowniczą rozpoczyna się praca polityczna. Powstaje organizacja, która przybiera nazwę Rady Politycznej Dalekiego Wschodu i interwenjuje w sprawach polskich u władz rosyjskich, rejestruje Polaków i wchodzi w stosunki z organizacjami politycznymi polskimi w miastach rosyjskiego Dalekiego Wschodu, tworzy się Polski Związek Wojenny, który organizuje oddziały polskie, mające wystąpić na front i walczyć w szeregach rosyjskich o niepodległość ojczyzny.

Wypadki rozwijają się coraz szybciej. Rewolucję „bezkrwawą” zastępuje rewolucja bolszewicka, krew płynie ta sama, ale hasła są inne. Ruch narodowościowy staje się występkiem, zamiast niego występuje międzynarodowa ideologia klasowa. Praca polska w Rosji staje się niemożliwą. Równocześnie jednak budzi się krwawy odwet na równinach Syberji, a nieco później upada potęga Niemiec i traktat Wersalski kładzie podwaliny pod wolną Polskę.

Do Mandżurji dochodzi legenda o Więźniu Magdeburskim, entuzjastycznie witany na ulicach Warszawy, w Paryżu powstaje Komitet Narodowy, na Syberji Komitet Wojenny, a rozproszeni po froncie syberyjskim oficerowie i żołnierze polscy tworzą w Nowomikołajewsku osobną dywizję, która wchodzi do armji admirała Kołczaka pod nazwą piątej.

Kolonja żyje temi wiadomościami i do nich stosuje swoją działalność. Rada Polityczna przekształca się w Komitet Narodowy, na czele którego staje mecenas B. Hartung, główny radca prawny kolei; Komitet Wojenny również przysyła do Charbina swojego pełnomocnika i obydwie Komitety stają się oficjalnymi rzecznikami polskimi wobec władz rosyjskich, wydają paszporty, rejestrują ludność i uzyskują od Rosjan zwolnienie Polaków od służby wojskowej w szeregach rosyjskich.

Miedzy Komitetami wywiązuje się mocny antagonizm i ostra emulacja. Tworzą się jak gdyby dwa kierunki: demokratyczny, opierający się na Syberji i reprezentowany przez Komitet Wojenny, i arystokratyczny, opierający się na Paryżu, subwencionowany przez organizacje amerykańskie i reprezentowany przez Komitet Narodowy. Staje się to nie z powodu różnicy przekonań, lecz z powodu składu

osobowego komitetów, gdyż tak się zdarzyło, że organizatorami Komitetu Narodowego byli ludzie zamożni i zajmujący wyższe stanowiska, a Komitet Wojenny powstał na Syberji za sprawą byłych jeńców wojennych, którzy, jeżeli nawet mieli stanowiska i środki, to w przeszłości, w Polsce. Pozatem Komitet Wojenny, będąc inicjatorem formowania się sił zbrojnych polskich na terenie syberyjskim, uważał siebie za naczelną instancję wojskową i na tem tle wszedł później w kolizję z dowództwem dywizji.

Odbывая się zjazdy, mające na celu dojście do porozumienia i ustalenie jednego frontu, ale realnego wyniku nie dają. Kolonja charbińska zostaje wciągnięta w wir tej działalności i również rozpada się na dwa obozy. Stronnicy Komitetu Narodowego grupują się w Gospodzie Polskiej, stronnicy Komitetu Wojennego zakładają nowe stowarzyszenie pod nazwą Gmina Polska.

Pomimo to obydwie Komitety funkcjonują z korzyścią dla sprawy polskiej, a w chaosie rosyjskim już sama ich obecność służy za pewną oporę dla obywateli polskich.

Działalność ówczesna kolonji tak tonie w powodzi ogólnej, że nie zawsze można ją stamtąd wyeliminować. Charbin w owym czasie zmienia się w wielki punkt centralny, w którym schodzą się nici z całej Syberji i Dalekiego Wschodu. Powstaje szereg organizacji społecznych, ratowniczych i zawodowych, różniących się między sobą więcej nazwami, niż kompetencją, gdyż wszystkie chciały robić i w miarę możliwości robiły wszystko. Powstaje również kilka pism codziennych i tygodniowych, kończących swoją egzystencję po kilku, najwyżej kilkunastu numerach.

Piąta dywizja, jak i cała armja Kołczaka, ma stały kontakt z Charbinem. Przyjeżdżają oficerowie w sprawach służbowych i intendenci po zakupy, w Charbinie i na stacji Mandżurja funkcjonują komendantury. Dzięki obecności wojsk oraz fachowych kierowników, zaczyna się rozwijać wśród młodzieży ruch harcerski i we wszystkich znaczniejszych osiedlach polskich od Nowomikołajewska do Pogranicznej tworzą się hufce harcerskie męskie i żeńskie. W Charbinie sztabem dla wszystkich tych wojskowych i cywilnych, starszych i młodzieży, oraz dla większości organizacji jest Gospoda Polska. Życie tu aż wre i fale wzburzonego kanału przelewają się przez sale tej instytucji.

Tak upływa rok 1918 i zbliża się ku końcowi jego następca, rok 1919. Łamie się front admirała Kołczaka i w dzikim popłochu rzuca się do ucieczki ogromna masa ludności, w ten lub inny sposób związanej z rządem białych. Następuje odwrót całej armji, a w jej składzie i naszej piątej dywizji. Odwrót ten, dokonywany w warunkach strasznych, w trzaskający mróz syberyjski, przy wyciu wichrów i kanonadzie idących w trop wojsk czerwonych, czeka jeszcze na swojego historyka.

Podstępne rozbrojenie i niewola dywizji koło stacji Klukwiennaja okrywa żałobą kolonję, ale nie czas na smutki, gdyż oto przybywa do Charbina część wojsk,

którym udało się uniknąć niewoli. Powódź, która ogarnęła państwo rosyjskie, była tak straszna, a hekatomby ofiar, złożone na ołtarzu Molocha Równości, tak niezliczone, że zamiast płaczu po tych, co zginęli, w sercach ludzkich wzbierała radość z powodu tych, co się uratowali. Uratowało się zaś sporo, bo dobre półtora tysiąca ludzi, doświadczonych wodzów, dzielnych oficerów i dyscyplinowanych i świadomych swoich obowiązków żołnierzy.

Teren kolei był pierwszym miejscem, gdzie ludzie ci, żyjący przez tyle miesięcy pod groźbą strasznej śmierci, mogli znaleźć odpoczynek i ciepło rodzinne. Kolonja zaś charbińska, wierne dziecko swojej dalekiej zmartwychwstałej Matki, po raz pierwszy miała sposobność ujrzenia defilady wojsk, noszących jej godła i barwy.

Nie na czczych sentymentach i okrzykach histerycznych budują ludzie potęgę mocarstwową ojczyzny, przeciwnie nawet, zbyt długie ich stosowanie nieraz bywa tej budowy hamulcem. Są jednak w życiu chwile, kiedy człowiek najbardziej zrównoważony nie może powstrzymać łez, a do takich chwil należało przybycie do Charbina i krótki tu pobyt wojsk polskich.

Pamiętam swoje wrażenia z tego okresu. Mieszkalem wówczas w mieście chińskim Cicikarze, pełniąc w dalszym ciągu funkcje przedstawiciela nieistniejącego już wówczas państwa rosyjskiego. Miasto leżało zdala od dróg, po których wtedy kroczyła historia, prasa charbińska dochodziła rzadko i nieregularnie, a w dodatku, przepełniona wiadomościami o klęsce Kołczaka, najmniej zajmowała się sprawami polskimi. Jeżeli więc nawet wiedziałem o klęsce pod Klukwiennaja, to tylko jako o fakcie bez żadnych komentarzy, i ani mi do głowy przyjsć mogło, żeby wojska polskie wkroczyły do terenu kolejowego. Łatwo więc wyobrazić sobie moje zdumienie, kiedy przez okno gabinetu służbowego ujrzałem idącego do biura młodego pana w popielatym mundurze i w czapce konfederatce z orzełkiem polskim. Myślałem, że mam halucynację i zacząłem przecierać sobie oczy, tymczasem młodzieniec wszedł do domu.

Był to oficer piątej dywizji, chorąży Bujak, rodem z Krakowa, którego dowództwo przysłało z Charbina celem wyjaśnienia, czy w obozie koncentracyjnym chińskim niema oficerów i żołnierzy polskich. W kilka dni potem przybył w tej samej sprawie porucznik Sztygier, również krakowiak, i spędził u mnie wieczór, śpiewając piosenki żołnierskie moim chłopakom. Byli to pierwsi i jedyni oficerowie polscy, przyjmowani przez chińskie władze w Cicikarze.

Widziałem potem wielkie miasta odrodzonej Ojczyzny, widziałem rewje wojsk na placu Józefa Piłsudskiego w Warszawie i wiele innych imponujących i wzruszających obrazów, ale żadne z doznawanych wtedy uczuć nie może dorównać wzruszeniu, jakiego doznałem na widok tego jednego tajemniczego oficera w konfederatce z orzełkiem, który jak duch zjawił się w parku dogorywającego konsulatu rosyjskiego w zapadłym mieście Mandżurji.

Nic więc dziwnego, że przybycie wojsk polskich do Charbina wywołało niezmierną radość i wielkie ożywienie w kolonji miejscowej. Pomimo smutnych okoliczności, które to przybycie wywołały, było to święto, wypadające tylko raz w życiu. Gości przyjęła Gospoda, a gospodarzami byli wszyscy, co mówili i czuli po polsku, bez różnicy przekonań i stosunków osobistych.

Święto wypadło podwójne, gdyż w tym samym czasie przybyła do Charbina i Polska Misja Syberyjska, wysłana z Warszawy do admirała Kołczaka. Na czele jej stał minister J. Targowski, a personel składał się z radcy legacyjnego barona Lago, konsula generalnego M. Morgulca, sekretarza legacyjnego hrabiego K. Ostrowskiego z małżonką, delegatką Polskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża, z radcy Min. Przemysłu i Handlu K. Ilskiego, sekretarza konsularnego S. Łukaszewicza, znanego malarza K. Frycza i oficerów Rodkiewicza, Więckowskiego i księcia K. Radziwiłła.

Ponieważ rząd Kołczaka nie istniał już wówczas, Misja zatrzymała się w Charbinie i przystąpiła do zorganizowania repatrjacji wojsk i licznych rzesz uchodźców, oraz do przejęcia agend rozwiązujących się z jej przyjazdem komitetów Narodowego i Wojennego.

Minister Targowski zabawił w Charbinie niedługo i wraz z częścią personelu wyjechał do Tokio, gdzie objął stanowisko pierwszego przedstawiciela polskiego w Japonji. W Charbinie czas jakiś pozostawał radca K. Ilski w charakterze zastępcy Wysokiego Komisarza, główny jednak ciężar pracy organizacyjnej i repatrjacyjnej spadł na konsulat generalny, który pod kierownictwem konsula M. Morgulca stał się pierwszą placówką polską na terenie mandżurskim.

Z zasadniczych zarządzeń administracyjnych Wysokiego Komisarza zaznaczyć należy rozwiązanie Komitetów Narodowego i Wojennego i stworzenie komisji do stopniowej likwidacji ich działalności – powołanie do życia Komisji Powrotowej z p. K. Weberem na czele, której obowiązkiem miała być pomoc konsulatowi w przeprowadzeniu repatrjacji i uzyskanie zgody władz chińskich na to, aby konsulat pod nazwą Delegacji do Repatrjacji i Opieki nad Polakami w Mandżurji i Mongolji mógł stale i oficjalnie funkcjonować w Charbinie.

Cały rok 1920 przeszedł pod hasłem repatrjacji. Tłumy ludzi pragnących wyjechać do kraju zapępiały biura konsulatu, Komisji Powrotowej i instytucyj społecznych. Czasy były takie, że nie tylko uchodźcy bez środków, ale i ludzie zamożni, jadący na swój koszt, musieli korzystać z pośrednictwa konsulatu dla uzyskania miejsc na statkach. Wojna i rewolucja rosyjska wytrąciły cały świat z równowagi, komunikacja z Europą odbywała się nieregularnie, a nabycie biletów przez osoby prywatne było prawie niemożliwe.

Tymczasem gorączka repatrjacyjna ogarnęła wszystkich Polaków. Nie licząc uchodźców, których liczba stale wzrastała, rejestrowali się w Komisji Powroto-

wej liczni urzędnicy i pracownicy kolejowi, którzy, ogarnięci chęcią zobaczenia niepodległej Ojczyzny, porzucali dobrze płatne posady, zabierali z kasy kolejowej swoje oszczędności i należności, zwijali wieloletnie gospodarstwa i wyruszyli w długą podróż morską.

Kolej, zrujnowana przez spadek pieniędzy rosyjskich i przez panujący na terenie chaos, nie mogła zaspokoić wszystkich pretensyj swoich odjeżdżających pracowników, wynikały więc skomplikowane sprawy, nieporozumienia i skargi, w których brały udział i instytucje społeczne i związki zawodowe, a zwłaszcza konsulat. Celem należytego informowania mniej inteligentnych kolejarzy w kwestjach ich rozrachunków z koleją, funkcjonowała czas jakiś przy konsulacie komisja prawna, złożona z miejscowych prawników Polaków.

Najspokojniej odbyła się repatrjacja wojskowa. Większa część wojska wyjechała na początku roku specjalnie wynajętym statkiem „Jarosław”, reszta wkrótce potem statkiem „Woroneż”. Od ich wyjazdu w Charbinie pozostali tylko spóźnieni oficerowie i żołnierze, którzy w ten lub inny sposób wydobywali się z niewoli bolszewickiej i przekradali się do Mandżurji. Tych wysyłało specjalnymi grupami, w miarę jak się tworzyły.

Repatrjacja cywilna była o wiele bardziej skomplikowana i trudna, już chociażby dlatego, że bezpłatnych i ulgowych kandydatów było znacznie więcej, niż pieniędzy na ten cel przeznaczonych. Wyszedł więc w maju statek „Brandenburg”, wioząc kilkaset osób, a następnie, w pewnych odstępach czasu aż do końca roku, wyjeżdżały partje, od kilkunastu do kilkudziesięciu osób liczące, statkami japońskimi, na których konsulat zakupywał odpowiednią ilość miejsc. W końcu roku wyczerpał się fundusz repatrjacyjny, posiadany przez konsulat i w związku z tem skończyła się repatrjacja masowa za pieniądze z tego źródła.

Pomimo dotkliwej straty, jaką poniosła kolonia przez wyjazd do Polski wielu zamożniejszych członków i wybitniejszych działaczy społecznych, działalność jej w roku 1921 przedstawia się jeszcze dosyć poważnie. W gimnazjum, liczącem około dwustu uczniów obojga płci, pracuje kilku fachowych nauczycieli, rozbitków rewolucji, działa rada opiekuńcza i komitet rodzicielski, w Gospodzie odbywają się posiedzenia Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża, posiadającego schronisko dla biednych w dawnych koszarach wojsk rosyjskich, rozwija się hufiec harcerski i tworzy się nowy Związek Młodzieży, mający na celu polszczenie zrusyfikowanych uczniów Polaków, kończących szkoły rosyjskie.

Oprócz tego funkcjonuje Gmina Polska, grupująca elementy niechętne Gospodzie i prowadząca bursę dla kilkudziesięciu sierot i biednych dzieci w domu parafjalnym. Nakoniec w ten lub inny sposób wciąż przypomina o sobie ogromna masa uchodźców, poczęści znajdujących się na utrzymaniu konsulatu i instytucyj społecz-

nych, poczęści rozproszona po całym mieście i zarabiająca na życie czem się da i jak się da, ale stająca do apelu jak jeden mąż w razie pogłoski o możliwym wyjeździe.

Ażeby zakończyć rok 1921, wspomnę jeszcze o jednym wydarzeniu, które miało ważne następstwa w życiu miejscowej kolonji. W czerwcu odwiedził Charbin delegat apostolski, arcybiskup de Guebriant, odbywający wizytację parafij na Dalekim Wschodzie. Podejmowany z niezwykłą serdecznością przez kolonję, wyraził zadowolenie z polsko-francuskiej współpracy na gruncie katolickim i oznajmił, że oceniając należycie rolę i działalność Polaków na Dalekim Wschodzie, ma zamiar poprzeć w Rzymie sprawę założenia diecezji Władywostockiej z biskupem Polakiem na czele i dołączenia do niej parafji charbińskiej.

Z upływem roku 1921 kończy się, że się tak wyrażę „święteczny” okres działalności kolonji miejscowej i nastają czasy powszednie. Nie byłoby w tem nic smutnego, gdyż powrót do pracy codziennej po interesujących wrażeniach świętecznych nie jest pozbawiony pewnego uroku, gdyby na przeszkodzie do tej pracy nie stały dwie okoliczności. Pierwszą z nich była obecność w Charbinie licznych rzesz uchodźczych, z którymi niewiadomo było co robić, drugą – dysproporcja pomiędzy planami i rozmachem społecznym kolonji a jej rzeczywistymi możliwościami.

Sprawa uchodźców w samej rzeczy przedstawiała się bardzo groźnie, a co gorsza, napozór beznadziejnie. O powrocie morzem mowy być nie mogło z powodu zupełnego braku funduszy, tak u samych uchodźców, jak i u kolonji i konsulat, droga zaś przez Rosję Sowiecką była zamknięta, a jakkolwiek poselstwo nasze w Moskwie czyniło starania o uzyskanie pozwolenia władz sowieckich na przejazd eszelonów z uchodźcami, nie dawały one narazie żadnych wyników.

Oprócz wielu uchodźców, znajdujących się całkowicie na utrzymaniu konsulat i kolonji, było sporo i takich, którzy posiadali pewne fundusze, stale jednak zmniejszające się, w miarę tego, jak się przedłużał przymusowy pobyt w Charbinie. Było więc do przewidzenia, że dłuższy okres takiej egzystencji zmieni i tę najmniejszą część uchodźców w gromadę nędzarzy.

Obawa ta górowała we wszystkich przejawach ówczesnego życia społecznego i wytwarzała w niem niezdrowy ferment.

Do wzmocnienia się tego fermentu przyczyniała się i druga okoliczność. Fale powodzi, które wzburzyły spokojną powierzchnię kanału, opadły z wyjazdem wojsk i repatriantów; na całym terenie ustawał kontrewolucyjny chaos rosyjski, a rozpoczął się ciężki i trudny okres zastosowywania się do wymagań nowych gospodarzy – Chińczyków; siły intelektualne i finansowe kolonji znacznie się zmniejszyły, ale rozpęd z lat rewolucji i pobytu w Charbinie przejściowych czynników na szerszą skalę, nadających pracy kolonji znacznie rozszerzony zakres lokalny, pozostał taki sam. Trudno więc było ludziom zgodzić się na powrót do dawnej, skromnej egzystencji.

Działal więc w dalszym ciągu, ale już przeważnie na papierze lub tylko w osobach prezesów, cały szereg organizacyj, tworzyły się szerokie, nieziszczalne plany w rozmaitych dziedzinach życia, a każdy taki plan, każda nowa, chociażby fantastyczna, myśl, wysunięta na forum społeczne, niezmiennie znajdowały gorących, aczkolwiek platonicznych, stronników przede wszystkim wśród uchodźców, którzy, rozporządzając czasem aż do zbytku i starając się ze wszystkiego wyciągnąć chociażby surogat rozwiązania dręczącej ich zasadniczej kwestji powrotu do kraju, tłumnie przybywali na wszystkie zebrania i tworzyli tam imponujące audytoria.

Z powodów niezupełnie dla mnie jasnych, prawdopodobnie z poczucia obowiązku, brali udział w tych zebraniach i ludzie poważni, trawiąc na nich całe wieczory.

Rozpatrywano więc projekt założenia wielkiego towarzystwa handlu z Polską, nie mając żadnych danych ani co do stanu ówczesnego przemysłu polskiego, ani co do warunków transportowych; debatowano nad przyłączeniem się do podobnego towarzystwa, powstającego we Władywostoku w chwili, kiedy dni rządzącej tam władzy antysowieckiej były już policzone; i poważnie na kilku zebraniach roztrząsano kwestję zakupienia przez towarzystwo akcyjne, złożone ze wszystkich uchodźców, statku, na którymby mogli oni powrócić do kraju, a którego dalsza eksploatacja miała zapewnić każdemu z nich znaczny dochód.

Była to zemsta opadających fal powodzi rewolucyjnej nad spokojnymi brzegami kanału.

Gospoda Polska i gimnazjum im. H. Sienkiewicza w dalszym ciągu prowadziły swoją zasadniczą pożyteczną pracę, ale stan finansowy obu tych instytucyj, w związku z ogólnem zubożeniem kolonji, uległ znacznemu pogorszeniu.

Pewne ożywienie wywołała częściowa repatrjacja, dokonana przez p. A. Bielkiewiczową, która po krótkim pobycie w Japonji potrafiła tak przychylnie usposobić opinię publiczną dla uchodźców polskich z Syberji i Dalekiego Wschodu, a szczególnie tak ją zainteresować i wzruszyć losem dzieci, że Japoński Czerwony Krzyż wyasygnował znaczną sumę na przewiezienie dwustu dzieci wygnańczych przez Japonję do Polski, co też zostało wykonane w sierpniu 1922 roku.

Odciażyło to w znacznym stopniu bursę i schronisko Czerwonego Krzyża, ale dla głównej masy kandydatów do repatrjacji wielkiego znaczenia nie miało, gdyż z sześciuset osób zarejestrowanych na pierwszą kolejkę tylko czternaście wyjechało z dziećmi w charakterze ich opiekunów i dozorców.

Tymczasem na instytucje polskie zaczęły zwracać uwagę miejscowe władze chińskie, które po ostatecznem objęciu administracji terenu starannie wyszukiwały, czy nie pozostały w posiadaniu cudzoziemców nieeksterytorjalnych jakie instytucje, których istnienie mogłoby sprzeciwiać się suwerennym prawom chińskim. Robiono to nieumiejętnie, poomacku, gdyż nowa administracja sama dopiero zaczęła uczyć się rządzić w warunkach różniących się od zwykłych chińskich. To

też gdy naczelnik policji wydał rozkaz, aby wszystkie kluby i hotele płaciły określony podatek od dochodów na rzecz policji, podwładni jego zażądali, ażeby Gospoda Polska, jako klub, płaciła miesięcznie trzysta dolarów miejscowych. Było to równoznaczne z zamknięciem Gospody, która ledwie była w stanie opędzać konieczne wydatki bieżące; ale żadne perswazyje tej treści, że Gospoda nie jest klubem, lecz instytucją kulturalno-oświatową, utrzymującą szkołę, i że żadnych dochodów oprócz komornego za wynajęte lokale nie ma, nie działały wcale na władze chińskie. Na wszystkie argumenty wykonawcy władzy suwerennej odpowiadali: albo zapłacicie, albo prezes wasz pójdzie do kozy.

Dopiero ówczesnemu konsulowi Pindorowi udało się z wielkim zachodem i przy pomocy miejscowego urzędu dyplomatycznego ocalić Gospodę od tego niespodziewanego zamachu.

Jednym z niewielu wydarzeń dodatnich, jakie miały miejsce w tym smutnym na ogół roku, było założenie przez ks. proboszcza W. Ostrowskiego pisma „Tygodnik Polski”, które wychodzi do dziś dnia i jest jedynym pismem polskim na terenie Azji.

Następne trzy lata przechodzą w nastroju mniej więcej jednakowym, kolonja stale się zmniejsza i biednieje, coraz ktoś z zamożniejszych wyjeżdża, znikają instytucje papierowe, ale i rzeczywistym coraz trudniej wiązać końce z końcami. W szczególnie ciężkiej sytuacji znajduje się gimnazjum, które, aczkolwiek bardzo uczęszczane z powodu otrzymania od naszego Ministerstwa Wyznań i Oświecenia praw gimnazjów państwowych w Polsce, stale pracuje ze znacznym deficytem, gdyż większość rodziców nie posiada środków na opłacenie nauki dzieci.

W roku 1923 przyjeżdża do Charbina Delegat Apostolski w Chinach mgr. Constantini i dokonywa konsekracji ks. K. Śliwowskiego na biskupa diecezji Władystowskiej, oraz potwierdza obietnicę arcybiskupa de Guebriant, że interesy i prawa kolonji polsko-katolickiej w Charbinie zostaną przez władze kościelne wzięte pod należytą uwagę. Ks. biskup wkrótce po konsekracji wyjeżdża do Władystowsku. Nastaje wreszcie upragniony moment załatwienia sprawy uchodźców, którzy przez ten czas zdążyli zorganizować się w stowarzyszenie, co znacznie ułatwiło porozumiewanie się z nimi. Dzięki energicznej akcji znanej działaczki społecznej, p. S. Sempołowskiej, popartej przez poselstwo w Moskwie, udało się uzyskać od władz sowieckich pozwolenie na ulgowy przejazd eszelonu uchodźców przez Rosję.

Przy pomocy konsulatu i kolonji okazało się, że można wysłać sporą liczbę i takich osób, które albo wcale nie posiadały środków, albo posiadały niewystarczające. Zabrało to wiele czasu i kłopotów, ale wreszcie w lecie 1924 roku eszelon uchodźców, w liczbie trzystu kilkudziesięciu osób, wyjechał przez Rosję do Polski.

W ten sposób sprawa repatriacji, chociaż nie zakończona ostatecznie, przestała być groźną.

W tym samym roku rokowania w sprawie traktatu z Chinami, prowadzone poprzednio przez poselstwo w Tokio, zostały powierzone kierownikowi placówki charbińskiej, delegatowi Rzeczypospolitej Pindorowi.

Rok następny 1925, chociaż może najcięższy dla kolonji zarówno pod względem finansowym jak i politycznym, był zarazem niejako zwrotem ku ostatecznej stabilizacji jej sił i warunków. W roku tym przeżyła ona ostatnie konsekwencje lat rewolucji i wstąpiła na drogę normalnej i odpowiadającej jej siłom i środkom pracy.

Pierwszą z tych konsekwencji było życzenie nowej administracji sowieckiej, przybyłej do Charbina wskutek porozumienia z Chinami w Mukdenie w roku 1924, pozbycia się liczego personelu urzędniczego, składającego się z białych Rosjan. Naczelnik kolei wydał okólnik, w którym oznajmiał, że osoby nie posiadające obywatelstwa chińskiego lub sowieckiego nie mogą, na zasadzie umowy Mukdeńskiej, pozostawać w służbie kolei i powinny albo uzyskać jedno z tych obywatelstw, albo podać się do dymisji. Cios ten, wymierzony w białych Rosjan, trafił i w Polaków, których jeszcze kilkuset służyło na kolei. Nieznaczną część ich, z powodów materialnych, uczyniła zadość pierwszemu żądaniu i zaopatrzyła się w paszporty chińskie lub sowieckie, ale większość nie zgodziła się na wyrzeczenie się obywatelstwa polskiego i opuściła zajmowane posady.

Ponieważ było rzeczą zupełnie jasną, że Polacy padli ofiarą walki, która wcale ich nie dotyczyła, władze sowieckie okazały w stosunku do nich pewne względy i na interwencję konsulatu udzieliły im bezpłatnego przejazdu do granicy polskiej. Przy tej sposobności konsulat dołączył do tej partji drugą, płatną, którą uformował z pozostałych w Charbinie uchodźców. Znowu najbardziej potrzebni otrzymali subwencje od konsulatu i kolonji, i w lecie 1925 roku wyruszył do Polski ostatni eszelon repatriantów, składający się z dwustu kilkudziesięciu kolejarzy z rodzinami i ze stu kilkudziesięciu uchodźców. Skutkiem tego repatriacja, jako jedno z domagających się rozwiązania zagadnień kolonji, istnieć przestała.

Znaczne zmiany zaszły w tym czasie i w administracji kościelnej. Na Przystani otwarto nowy kościół, którego proboszczem został wikary pierwszego kościoła, ks. A. Leszczewicz. Staraniem jego przy kościele powstała szkołka bezpłatna początkowa dla biednych dzieci. Następnie przybył nowomianowany Administrator Apostolski dekanatów syberyjskich, ks. G. Piotrowski, który, nie mogąc dostać się na Syberję, zamieszkał w Charbinie. Pod jego opiekę przeszło małe seminarjum im. św. Karola, przeniesione z Władywostoku z powodu prześladowań bolszewickich, i kościół unicki, rozpoczynający swoją działalność na tutejszym terenie.

Szczególnie ciężkim był ten rok dla gimnazjum i szkoły przy kościele. Wciąż wzrastający deficyt skłonił założyciela gimnazjum ks. W. Ostrowskiego do wyjazdu do Ameryki i Polski w celu zebrania środków, a po jego wyjeździe sprawy poszły jeszcze gorzej, gdyż równocześnie wyjechali do Polski dwaj najwybitniej-

si działacze na niwie oświatowej: dyrektor gimnazjum S. Janiszewski i sekretarz rad pedagogicznej i opiekuńczej, nauczyciel T. Szukiewicz.

Nastaje czas przygnębienia i wegetacji w całym życiu polskim w Charbinie. Wojny domowe, trwające stale na terenie Chin, doprowadzają do stanu napięcia i stosunki na terenie. Władze miejscowe w walce z bolszewizmem i w związku ze stale podrażnioną ambicją „suwerenną” mało robią różnicy pomiędzy Rosjanami a innymi narodowościami, których nie obejmują traktaty. Dostaje się więc za cudze grzechy i Polakom. Pozwolenia na urządzenie wieczorów zdobywa się z trudnością, jeżeli zaś chodzi o wystawienie sztuki polskiej, następuje odmowa pod pretekstem, że w policji nikt nie rozumie po polsku i nie można stwierdzić, czy w sztuce niema czego nieodpowiedniego.

Słabnie więc tempo życia społecznego w Gospodzie, a gimnazjum, dręczone stałym niedoborem, działa nerwowo i niesystematycznie.

Są to jednak już ostatnie smutne chwile. Rok 1926 wprowadza, dzięki pobytowi w Pekinie delegata pełnomocnego Rzeczypospolitej p. Pindora i prowadzonym przezeń rokowaniom traktatowym, pewne zmiany na lepsze w stosunku władz miejscowych do kolonji, a nawiązane przez placówkę miejscową stosunki osobiste pozwalają je utrwalić. Następnie okazana przez ks. G. Piotrowskiego pomoc gimnazjum usuwa narazie groźbę katastrofy finansowej i życie tej uczelni zaczyna wchodzić na tory normalne.

W roku 1927 wraca ks. W. Ostrowski ze znaczną, uzbieraną w Ameryce sumą, a równocześnie ks. G. Piotrowski zostaje mianowany wikariuszem generalnym Charbina, ponieważ biskup K. Śliwowski, zamknięty we Władywostoku, nie może zajmować się sprawami parafji charbińskiej.

W tym czasie działalnością oświatową i ratowniczą kolonji charbińskiej zaczyna się interesować Rząd Polski i udziela gimnazjum znacznej pomocy materialnej w postaci etatów nauczycielskich, płatnych w dolarach amerykańskich. Etatów tych obecnie gimnazjum posiada osiem, a szkoły początkowe dwa. W ten sposób Rząd opłaca lwią część wydatków tych uczelni; resztę pokrywa opłata za naukę, a kościół w osobie proboszcza daje lokal i płaci dodatkowe wynagrodzenie dyrektorowi, które, mówiąc nawiasem, obecny dyrektor p. Janiszewski (objął na nowo funkcję dyrektora w roku 1928) w ostatnim roku całkowicie przelał do kasy gimnazjum, jako opłatę za naukę biednych uczniów.

Ks. Administrator, jako zakonnik, niechętnie widział koedukację w gimnazjum i po objęciu władzy ułożył projekt podziału uczelni na męską i żeńską. Ponieważ jednak, ze względu na etaty państwowe i wypływającą z nich konieczność uzyskania dla takiej reformy zgody czynników rządowych, nie okazało się to rzeczą możliwą, powziął plan wybudowania konwentu dla dziewcząt, na wzór już istniejących w portach chińskich zakładów tego rodzaju.

Zabrał się do dzieła z wielką energią i w rok niespełna stanął na gruncie kościelnym piękny gmach piętrowy, który objęły w posiadanie przybyłe w tym celu z Polski Siostry Urszulanki. Konwent zaczął działać w październiku 1928 roku, i tu właśnie można było raz jeszcze stwierdzić prawdziwość przysłowia: „należy siedem razy odmierzyć, zanim się raz odkroi”.

Konwent taki byłby cennym nabytkiem dla każdej kolonii cudzoziemskiej, z wyjątkiem polskiej, a to z powodu specjalnych warunków jej istnienia i postawionych sobie przez nią celów. Zbyt jeszcze bolały rany zadane przez długą niewolę i sporo czasu upłynie, zanim język rosyjski będzie miał dla Polaków takie samo znaczenie, jak każdy inny, a nie będzie przypominać okresu, w którym znajomość jego była obowiązkową i zabijała lub paczyła język ojczysty.

Cała więc działalność kolonii polskiej w dziedzinie kulturalno-oświatowej polegała w latach caryzmu na ukrytej walce z językiem rosyjskim, a w czasie odzyskania niepodległości na zacieraniu wszelkich śladów i naleciałości jego, zarówno u starszego jak i u młodszego pokolenia polskiego. Pod tym względem systematycznie działały szkoły i gimnazjum, na ten punkt kładły w swojej działalności specjalny nacisk stowarzyszenia i organizacje społeczne.

Powstanie zatem uczelni, do której wstąpiło około dwustu Rosjanek, a tylko kilkadziesiąt Polek i której celem miała być propaganda unji wśród społeczeństwa rosyjskiego, nie mogło być zrozumiane przez kolonję inaczej, jak zamach na prowadzoną przez nią pracę. Pomimo że założycielem był Polak i kierowniczkami również Polki, nie umiejące nawet mówić po rosyjsku, większość kolonii uważała, że przewagę w uczelni zdobędzie język rosyjski i że uczące się tam Polki ulegną wynarodowieniu. Nad tem, że uczelnia taka, działająca pod flagą polską, stanie się jednak potężnym czynnikiem propagandowym dla Polski w tutejszych sferach chińskich i cudzoziemskich, mało kto się zastanawiał, jak również małą wagę przywiązywano do zapewnień założyciela i sióstr, że Polki w konwencie będą otrzymywały wychowanie narodowe.

Ponieważ nie było instancji, któraby wogóle mogła zabronić władzy kościelnej postępować, jak ona uzna za stosowne, przeto skończyło się na wzajemnym rozdrażnieniu i krótkiej polemice w pismach; to jednak rozdrażnienie wniosło do spokojnej i celowej pracy kolonii bakterje trujące, których dalszy rozwój może tylko wyrządzić szkodę sprawie polskiej na Dalekim Wschodzie.

Równocześnie ze sprawą konwentu powstaje sprawa parceli kościelnej, na której go zbudowano i na której znajduje się kościół i gimnazjum. Parcela ta została przez ks. Piotrowskiego zarejestrowana u władz chińskich jako własność kościoła czy misji katolickiej (po chińsku pomiędzy temi wyrazami niema różnicy), co znowu wywołało ostry sprzeciw pewnych sfer kolonii, upatrujących w tym akcie

uszczerpienie polskiego dorobku. Następuje nowe silne zadrażnienie, tembardziej przykre, że bezcelowe, jako wywołane przez czynniki niekompetentne.

Ostateczne rozwiązanie sprawy konwentu i parceli oraz zupełne odseparowanie działalności unickiej od kościoła polskiego w Mandżurji stanowią najważniejsze zagadnienia nasze na terenie tutejszym i od nich zależeć będzie dalszy spokojny rozwój kolonji.

Na zakończenie pozwolę sobie naszkicować kolonję polską w Mandżurji w stanie, w jakim znajduje się obecnie. Pomimo że nie była dokonana rejestracja wszystkich Polaków tu zamieszkających, można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że liczba ich na całym terenie dochodzi do dwóch tysięcy pięciuset osób. Dobra połowa ich mieszka w Charbinie, a reszta na linii kolei. Zamieszkali w Charbinie dzielą się na kilka grup, z których jedna, kilkaset osób licząca, bierze taki czy inny udział w życiu kolonji, od czynnej pracy społecznej do obecności na wieczorach i obchodach polskich lub posyłania dzieci do szkół polskich. Grupa następna manifestuje swoją polskość tylko w kościele lub w organizacjach z charakterem ściśle kościelnym, a trzecia, składająca się z ludzi, posiadających paszporty sowieckie, boi się lub nie chce okazywać swojej polskości wogóle.

Analizując pierwszą, a poczęści i drugą grupę, muszę zaznaczyć, że stanowią one naogół żywioł bardzo sympatyczny i posiadający wszelkie dane do rozwoju w pożytecznym dla Ojczyzny kierunku. Nie dają się tu odczuwać ani różnice majątkowe, ani intelektualne, zupełny brak partij politycznych, a wspólnem dla wszystkich hasłem jest miłość Ojczyzny i chęć pracy dla niej w skromnym zakresie lokalnym. Pod względem zawodów i zatrudnień dzielą się te dwie grupy na kupców, przedstawicieli handlowych, przemysłowców, urzędników i pracowników różnych przedsiębiorstw polskich i cudzoziemskich, emerytów kolejowych, właścicieli nieruchomości (przeważnie niewielkich) i rzemieślników różnego rodzaju. Do grupy trzeciej należą wyłącznie urzędnicy i pracownicy kolei Chińskiej Wschodniej. Jest również sporo młodzieży, rwącej się do Polski i marzącej o niej jak „o szklanych domach kuzyna Baryki”. Naogół jest to materiał, z którego umiejętna ręka może stworzyć piękne dzieło.

Postawione na trwałych podstawach gimnazjum garnie do siebie coraz to szersze zastępy polskie; takąż rolę w stosunku do starszego pokolenia gra Gospoda Polska, wyzwolona dzięki pomocy Rządu z trudności finansowych; ale poza ruchem ideowym, wytworzonym przez te instytucje, zaczyna się kolonja zdobywać i na kroki realne w dziedzinie, której rozwój jest obecnie równoznaczny ze wzrostem potęgi państwa. Mam tu na myśli dziedzinę ekonomiczną.

Otóż i pod tym względem kolonja tutejsza staje się, jeżeli nie poważnym czynnikiem w rozwoju naszej ekspansji gospodarczej na Dalekim Wschodzie, to przynajmniej cennym informatorem dla polskich sfer przemysłowo-handlowych, któ-

reby się rynkiem mandżurskim zainteresować chciały. W tym celu miejscowi przemysłowcy i kupcy polscy połączyli się w związek i pracują pod gościnnym dachem Gospody Polskiej, mając nadzieję rychłego przekształcenia się w Polsko-Chińską Izbę Handlową.

Anglja, władczyni mórz, posiada oprócz wielkich dominjów i bogatych kolonij maleńkie wysepki w różnych punktach oceanów, służące za stacje węglowe przepływającym okrętom angielskim.

Nie przeceniajmy znaczenia kolonji mandżurskiej, ale też strzeżmy się jej niedoceniać. Jest to maleńka, ale czysto polska wysepka węglowa, gdzie okręty – kupcy polscy – zawsze będą się czuli u siebie i gdzie w życzliwym środowisku będą mogli zaopatrzyć się w węgiel, w postaci informacji, wskazówek i doświadczenia.